



kanon lektur

Tadeusz Borowski

Pożegnanie z Marią

i inne opowiadania

SIEDM/ORÓG

Pożegnanie z Marią i inne opowiadania

Tadeusz Borowski

Pożegnanie z Marią
i inne opowiadania

SIEDM/ORÓG

Na okładce
wykorzystano fotos z filmu *Ostatni etap*
w reżyserii Wandy Jakubowskiej
Przedsiębiorstwo Państwowe Film Polski, 1947
© Copyright by Andrzej Jakubowski & Studio Filmowe „Oko”

LEKTURA DLA SZKÓŁ ŚREDNICH

© Copyright by Maria Borowska-Bayer
and Małgorzata Borowska

ISBN: 978-83-8279-293-5

Księgarnia wysyłkowa Wydawnictwa Siedmioróg
www.siedmiorog.pl

Wrocław 2021

POŻEGNANIE Z MARIĄ

I

Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych ksiąg – okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna okryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy, na wprost furtki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odbłask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłębamii przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wicherze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.¹

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku stojącym wśród pustych butelek, talerzy z nie dojedzoną sałatą, brzuchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre światło, które załamywało się w granicy przedmiotów, wsiąkało jak

¹ Akcja opowiadania dzieje się w realiach okupacyjnego życia Borowskiego przy ulicy Skaryszewskiej na Pradze.

w dywan w niebieski dym zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkieł i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze – nabiegło struną w jej dłonie, a one rozświetloną, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyćmiony pokój nappełnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmalął jak muszla.

– Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem – szepnęła Maria. – Cień jak przyływ podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spēkaniom ukrytym w ich kącikach.

– Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem – powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. – Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem.

Maria rozchyliła wargi. Między zębami drżał leciutko ciemny koniusek języka: uśmiechała się. Kiedy mocniej zacisnęła palce wokół grzybka, błysk leżący na dnie jej oczu zmatowiał i zgasł.

– Poezja! Dla mnie to rzecz tak niepojęta jak słyszenie kształtu albo dotyk dźwięku. – Odchyliła się w zadumie na poręcz kozetki. W półcieniu czerwony obcisły sweter nabrał purpurowej soczystości i tylko na grzbietach fałd, gdzie ślizgało się światło, lśnił karminową, puszystą barwą. – Ale tylko poezja umie wiernie pokazać człowieka. Myślę: pełnego człowieka.

Zabębniłem palcami o szkło kieliszka. Odezwał się kruchym, nietrwałym dźwiękiem.

– Nie wiem, Mario – rzekłem wzruszywszy z powątpiewaniem ramionami. – Sądzę, iż miarą poezji, a może i religii, jest miłość człowieka do człowieka, którą one budzą. A to jest najbardziej obiektywnym sprawdzianem rzeczy.

– Miłość, oczywiście, że miłość! – powiedziała mrużąc oczy Maria.

Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej, przedzielonej skwerem ulicy jeździły ze zgrzytem tramwaje. Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnetyzacji przebijały się przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom, ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn.

Za drzwiami, w drugim pokoiku, puszczone znowu patefon. Zdławiona, jakby grana na grzebieniu, melodia zacierała się w natarczywym szuraniu tańczących nóg i gardłowych śmiechach dziewczęcych.

– Jak widzisz, Mario, oprócz nas jest jeszcze inny świat – roześmiałem się i wstałem z kozetki. – To, widzisz, jest tak. Gdyby można było rozumieć cały świat, czuć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy – powiedziałem z namysłem, okrążywszy kozetkę i stanąwszy pod rozgrzanym piecem między Marią a majolikowymi kaflami i workiem z kartoflami zakupionymi w jesieni na zimę – wtedy miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne, zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże fałszywa miara rzeczy!

Drzwi od pokoiku z patefonem otworzyły się. Chwiejąc się w takt melodii wszedł Tomasz, oparty o ramię żony. Jej lekko ciężarny, a od wielu miesięcy stateczny brzuch cieszył się nieustającym zainteresowaniem przyjaciół. Tomasz podszedł do stołu i chwiały się nad nim rozrosłym, pękającym, masywnym jak u wołu łbem.

– Źle się starasz, bo wódki nie ma – rzekł z miękkim wyrzutem, starannie zlustrowawszy naczynia, i odpłynął, popychany przez żonę, w kierunku drzwi. Patrzył w nią tępyim wzrokiem jak w obraz. Mówiło się, że

to zawodowo, gdyż handlował fałszywymi Corotami, Noakowskimi i Pankiewiczami¹. Poza tym był redaktorem syndykalistycznego dwutygodnika² i uważał się za radykalnego lewicowca. Wyszli na skrzypiący śnieg. Kłęby mroźnej pary przewinęły się po podłodze jak włochate motki białej bawełny.

W ślad za Tomaszem do kantoru majestatycznie wtoczyły się taneczne pary, pokręciły się sennie koło stołu, majolik i kartofli, starannie omijając zacieki pod oknem, i zostawiwszy czerwone ślady od świeżo pastowanej posadzki, wrócili tam, skąd wyszli. Maria poderwała się od stołu, poprawiła automatycznym ruchem włosy i powiedziała:

- Muszę już iść, Tadeusz. Kierownik prosił, żeby zaczynać wcześniej.
- Masz jeszcze dobrą godzinę czasu – odrzekłem.

Okrążył zegar firmowy o pogietej blaszanej tarczy tykał miarowo, zawieszony na długim sznurku między na w pół rozwiniętym plakatem, rysunkiem urojonego widnokregu a węglową kompozycją przedstawiającą dziurkę od klucza, przez którą widać fragment kubistycznej sypialni.

– Wezmę Szekspira, postaram się zrobić w nocy *Hamleta* na wtorkowy komplet³.

Przeszedłszy do drugiego pokoju kucnęła przy książkach. Półka zbita była prymitywnie z nie heblowanych desek. Deski uginały się pod ciężarem książek. W powietrzu leżały błękitne i białe pasma dymu oraz unosił się ciężki zapach wódki zmieszany z odorem ludzkiego potu i wapienną

¹ Jean Baptiste Camille Corot (1796–1875) – wybitny malarz francuski, szczególnie znany jako pejzażysta; Stanisław Noakowski (1867–1928) – polski rysownik i malarz; Józef Pankiewicz (1866–1940) – polski malarz i grafik; impresjonista, później – postimpresjonista. Malował portrety, pejzaże, martwe natury. Od roku 1925 mieszkał we Francji.

² Syndykalistyczny dwutygodnik – przypuszczalnie „Myśl Młodych”, jedno z kilku pism wydawanych przez konspiracyjne stronnictwo Związek Syndykalistów Polskich.

³ Mowa o studiach polonistycznych na podziemnym Uniwersytecie Warszawskim.

wonią wilgotnych, gnijących ścian. Chwiały się na nich, jak bielizna na wietrze, jaskrawo malowane kartony i, jak morskie dno, przeświecały się kolorowymi liniami meduz i koralu poprzez błękitny opar. W czarnym oknie, odgradzony szybą od nocy, zaplątany w cienką koronkę firanki wyszachrowanej za psie pieniądze od złodziejki kolejowej, smętny, zapijaczony skrzypek (który uważał siebie za impotentą) na próżno usiłował jękiem instrumentu zagłuszyć charczenie patefonu. Zgarbiony jak pod workiem cementu, wydobywał ze skrzypiec z ponurą zaciętością jeden tylko pasaż. Od dwóch godzin ćwiczył się do niedzielnego koncertu poetycko-muzycznego¹. Występował wtedy umyty, w wizytowym garniturze w paski, miał twarz melancholijną i oczy senne, jakby czytał z powietrza nuty.

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskami tapczana, na którym, jak duszące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

– Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezertorem. Przynajmniej pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwiać złu.

– Ja się sprzeciwiam złu – rzekł leniwie Piotr. Leżał rozwalony między dwiema rozmamłanymi dziewczynami i gmerał rękoma w ich fryzurach.
– Zdejm nogi ze stołu albo je umyj.

¹ Koncert poetycko-muzyczny – towarzyskie spotkania w domach prywatnych z programem muzycznym i recytacją były swoistą instytucją podziemnego życia literacko-artystycznego okupowanej Warszawy. Na jednym z takich spotkań odbyło się pierwsze publiczne wystąpienie Borowskiego-poety.

– Umyj nogi, Polek – rzekła dziewczyna spod ściany. Miała grube, rozlane uda i czerwone, mięsiste wargi.

– Ale! chcielibyście. Uważacie, był taki szczep Wandalów, bardzo tchórzliwy – ciągnął Apoloniusz zesunąwszy piętą talerze na kupę – wszyscy ich tłukli i z Danii czy z Węgier wygnali do Hiszpanii. Tam Wandale wsiedli na okręty, pojechali do Afryki i doszli piechotą pod Kartaginę, gdzie biskupem był św. Augustyn, ten od św. Moniki¹.

– A wtedy święty wyjechał na osłe i nawrócił Wandalów – powiedział spod pieca młodzieniec pyknąwszy z fajki. Wydymał pulchne, różowe policzki, pokryte złocistym puszkciem jak owoc brzoskwini. Pod oczyma miał wielkie sińce. Pianista, dłuższy czas żył z pianistką o uroczych dołkach w buzi i drapieźnym, namiętym spojrzeniu. Latem ochrzciliśmy go (bo był wyznania narodowego) przy zapalonych świecach, wiechciach kwiatów i miednicy chłodnej, kaplicznej wody, którą zapobiegliwy ksiądz umył mu dokładnie głowę, a zaraz po chrzcie na najruchliwszym punkcie Grójeckiej wymigiwaliśmy się od łapanki ulicznej. Pożeniłiśmy ich nierychło, bo dopiero późną zimą. Rodzice odmawiali błogosławieństwa ze względu na mezalians. Wprawdzie ustąpili i użyczyli muzykom pokoju do spania i fortepianu do ćwiczeń oraz kuchni do produkcji bimbru, ale nie zechcieli zaprosić na wesele przyjaciół, więc przyjaciele weselisko urządzili sami. Panna młoda w sztywnej niebieskiej sukni siedziała w fotelu nieruchomo, jakby połknęła kij. Była senna, zmęczona i pijana.

– Miło tu u was, bardzo miło, wiesz? – Żydóweczka, która uciekła z getta i tej nocy nie miała gdzie spać, uklękła koło Marii przy książkach i objęła ją ramieniem. – To dziwne, tak dawno nie miałam w ręku szczoteczki do zębów, kanapki, filiżanki z herbatą, książki. Wiecie, to trud-

¹ Św. Monika – matka św. Augustyna. Św. Augustyn był biskupem Hippony (Hippo Regius), a nie Kartaginy.

no nawet określić. I wciąż to uczucie, że trzeba odejść. Ja się panicznie boję!

Maria pogłaskała ją, milcząc, po ptasiej głowie ozdobionej lśnięcymi falami przylizanych włosów.

– Przecież pani była pieśniarką! Chyba niczego pani nie brakowało. – Miała na sobie żółtą sukienkę w chryzantemy, z wyzywającym dekoltem. Zza niego wychylała się zalotnie kremowa koronka koszulki. Na długim łańcuszku kołysał się między piersiami złoty krzyżyk.

– Brakowało? Nie, nie brakowało – odrzekła z błyskiem zdziwienia w załzawionych, krowich oczach. Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia. – Niech pan zrozumie, z artystkami nawet Niemcy inaczej... – urwała i zamyśliła się patrząc tępo w książki. – Platon, Tomasz z Akwinu, Montaigne – dotykała polakierowanym na purpurowo paznokciem obszarpanych grzbietów kupionych na wózkach i wykradzionych z antykwariatu książek.

– Tylko żeby pan widział to, co ja widziałam za murami...

– Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie oblegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! – rzekł maniacko Apoloniusz. – Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna dzisiaj czytają. *Ergo* – wzniosł dłoń z rozczapierzonymi palcami ku sufitowi – wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety!

Pod sufitem suszyły się na sznurach okładki tomiku poetyckiego¹. Ciągnęło od nich tęgą farbą drukarską. Światło przebijało się przez czarne i czerwone płaszczyzny pakowego papieru i plątało się wśród kartek jak w gąszczu leśnym. Okładki szeleściły jak suche liście.

¹ Okładki tomiku poetyckiego – debiutanckiego tomiku Borowskiego *Gdziekolwiek ziemia...* Tomik został odbity na powielaczu w nakładzie 165 egzemplarzy w tymże lokalu przy ulicy Skaryszewskiej.

SPIS TREŚCI

POŻEGNANIE Z MARIĄ	5
CHŁOPIEC Z BIBLIĄ	40
DZIEŃ NA HARMENZACH	52
PROSZĘ PAŃSTWA DO GAZU	81
U NAS, W AUSCHWITZU... ..	103
LUDZIE, KTÓRZY SZLI	145
ŚMIERĆ POWSTAŃCA	159
BITWA POD GRUNWALDEM	175
KAMIENNY ŚWIAT	220
OPOWIADANIE Z PRAWDZIWEGO ŻYCIA	225
ŚMIERĆ SCHILLINGERA	229
CZŁOWIEK Z PACZKĄ	233
KOLACJA	238
MILCZENIE	242
SPOTKANIE Z DZIECKIEM	245
KONIEC WOJNY	248
„INDEPENDENCE DAY”	251
PODRÓŻ PULMANEM	254
DZIEWCZYNA ZE SPALONEGO DOMU	256
ODWIEDZINY	260
OFENSYWA STYCZNIOWA	262
MUZYKA W HERZENBURGU	273
OKREŚLENIA OŚWIĘCIMSKIE	295